



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

PERSPEKTYWY
Warszawa
ul. Nowy Świat 58

wydanie 32 - 8 - 08 - 1975

665

Teatr

Z mojej loży

Indianie

Lato w pełni, ludzie rozleniwieni, a w teatrach — po czerwcowych szaleństwach, napięciach, nadmiarach i przesytach — błogi spokój, cisza, po językowym Babelu — relaks i odprężenie.

W takich chwilach można mówić i o Indianach. Nawet najlepiej o Indianach. W porze urlopów najbardziej dorośli lubią wracać do lat sielskich-anielskich. Ich dzieci, ustrojone w pióra, potrzęsają tomahawkami i wołają „howgh”, a oni sami, dorośli, gotowi wspominąć Sokole Oko i Winnetou, wodza Apaczów.

Teraz jednak o Indianach trochę inaczej. Bo są dwa rodzaje Indian: ci dla harcerzy (którzy też chcą być Indianami) i ci od prawdy dla dorosłych. I ja o tych nieinfantylnych Indianach. O Indianach z rzeczywistości, która była krwawa, okrutna, nieludzka i jak najbardziej dorosła. A więc o takich Indianach, o których pisuje także mój imiennik, Jan Szczepański... i o których w Ameryce napisał sztukę Amerykanin Arthur Kopit. Tę jego sztukę „Indianie” wystawił na początku lata Teatr Powszechny w Warszawie, obdarzając ją bardziej w swoim mniemaniu — atrakcyjnym tytułem „Buffalo Bill”.

Indianie byli jedynymi rdzennymi mieszkańcami Ameryki. W niektórych krajach Ameryki Łacińskiej mnożą się i powrócą, być może do swoich praw; ale w Brazylii i w Stanach Zjednoczonych dogorywają w wydzielonych im skąpo rezerwach. Nim powstały rezerwy, był w USA Dzikie Zachód: zakłamanym romantyzm i prawdziwe ludobójstwo.

Indianie ginęli w milczeniu. Na ich temat odezwała się sztuka. Literatura, potem film. W ich obronie? Nieprawda. Sztuka głosiła bowiem chwałę zwycięzców. A potem legendę Dzikiego Zachodu spreparowano dla młodzieży, podchwyciły jej barwne akcesoria dzieci. I tak ze sprawy poważnej zrobiła się ogólna zabawa w Indian. Ale Indianom nie do zabawy było. Ginęli, wybijani do nogi przez silniejszych. Takie jest prawo natury — rozgrzeszali kaznodzieje.

Tępienie Indian było radosną przygodą pionierów. Stało się niemym wyrzutem sumienia ich wnuków. Nie idealizujmy: nie ich wnuków, bynajmniej nie całego społeczeństwa. Do winy białych za upadek czerwonoskórych przyznali się tylko intelektualści, „jajogłowi”, postrzeleńcy. Pojawiły się jednak filmy, które usiłują oddać Indianom sprawiedliwość — nie tylko tę rycerską, ale i społeczną — pojawiły się prace naukowe, biorące Indian w obronę nie tylko przed dawnym cynizmem grabieżców i morderców, ale i przed współczesną sofistyką „historycznych konieczności”. Siuk-sów czy Komanczów spróbowano wyrwać z niewoli komiksów.

Także Kopit uznał za moralny obowiązek amerykańskiego pisarza zabrać głos w tragicznej sprawie indiańskiej; powiedzieć prawdę i tylko prawdę. W formie widowiska jarmarcznego — tak typowego dla amerykańskiej prowincji „show” — spróbował pokazać okruciny przeszluszczenia indiańskiej, jaką była naprawdę, i jej ludobójcze rozwiązanie. Nie wyśmiewa generała Custer, niebotycznego bałwana, który dał się pobić (i zabić) Indianom Siedzącego Byka (Sitting Bulla) w sławnej bitwie pod Małym Wielkim Rogiem, wprowadza za to pułkownika Forsytha, który „pomścił” Custerą dokonując — mniej znanej — masakry Indian pod Zranionym Kolanem. I głównym bohaterem widowiska robi Kopit Buffalo Billa, który najpierw tępił bawoły, podcinając egzystencję Indian, a następnie, zniewolonych, dawnych wojowników przerobił w obiekty „cepeliowe” ciągnąc z ich cyrkowych występów grube zyski. Indianie to sztuka gorzka i demaskatorska. Kopit pokazuje amerykańskie czasy pogardy i nie oszczędza rodaków, wychodząc z założenia, że narodowi trzeba o jego przeszłości mówić otwarcie i szczerze, że tylko prawda może uzdrawiać społecznie.

Zygmunta Hübnera, reżysera spolszczonych „Indian” przyciągnęła do sztuki Kopita zapewne odmiennosc zadań inscenizacyjnych, egzotyka tematu i formy scenicznego, a jednocześnie popularność tego tematu. Dał sobie nieźle radę z elementami cyrku, ze skojarzeniem ich z surową refleksją. Widowisko jest hulaśliwe, huczne i jaskrawe — jak być powinno. Stanisław Zaczyk z przejęciem gra Buffalo Billa, od sprytu i cynizmu do jałowej melancholii. Andrzej Szalawski z namaszczeniem kreuje dostojeństwo Sitting Bulla, a Leszek Herdegen z ironią odstawia Dzikiego Billa Hickoka (też postać autentyczna). Widowisko ma rytm woltżerki na koniu, sporo celnych pomysłów, usytuowanych w funkcjonalnej scenografii Marcina Jarnuszkiewicza.

Ale czy się podoba i czy będzie mieć powodzenie, zachęcające inne teatry do powtórzenia eksperymentu dyrektora Hübnera? Śmiem wątpić. Bo przedstawienie w Powszechnym nie ma adresata. Dla młodocianych jest zbyt trudne — z westernu nic tu nie pozostało, za to wcisnęło się sporo podretuszowanej dokumentacji. Dla dorosłych jest natomiast zbyt uproszczone, plakatuowe i powierzchownie publicystyczne. Nad grobami zabitych przemawiają ci, którzy ich pozabijali — nie jest to sytuacja najwygodniejsza, zwłaszcza w teatrze. I słuchacze żalobni wstrzymują się od oklaskiwania mówców, choćby uwierzyli w ich wspaniałomyślne przyznanie się do winy.

JASZCZ